NUMER 35. DNIA 9. WRZEŚNIA 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

W kwestji narodowościowej.

(Z powodu rozprawy Raoul'a de la Grasserie — De principe sociologique des nationalités. Paris. 1905).

Rewolucja, odbywająca się w państwie rosyjskiem, wysuwa znowu na naczelne miejsce kwestję narodowości, która — zdało się — wobec wyolbrzymiałej w drugiej połowie zeszłego stulecia kwestji społecznej, straciła była to wielkie znaczenie, jakie ona miała w latach poprzedzających nasze powstanie 1863 r. Odzyskanie bowiem niepodległości przez Włochów i zjednoczenie się polityczne Niemiec zmniejszyło u narodów zachodnich bezpośrednie odczuwanie tej ważnej kwestji, a sprowadzenie kwestji społecznej do ciasnego zakresu ekonomicznego zwężało należyte jej ocenienie. Tymczasem kwestje: narodowościowa i socjalna ściśle są ze sobą połączone i — można powiedzieć — przedstawiają tylko dwie strony jednej i tej samej kwestji: oswobodzenie ludzi od ucisku i wyzysku.

Do zaciemnienia, do zagmatwania pojęć przyczyniała się także nauka urzędowa, a szczególnie we Francji, gdzie centralizm państwowy utożsamia siebie z narodowością. Propaganda ta szkolna nie pozostała bez odgłosu, i skutków onej doznawaliśmy sami na sobie, nie tylko bowiem w urzędach, lecz i w prywatnych nieraz stosunkach nie odróżniano odrębności narodowej Polaków od panującej w państwie rozbiorczem narodowości, najczęściej podciągając rodaków naszych pod ogólne miano Rosjan. Nawet w obozach socjalistycznych indywidualność narodową zaczęto podporządkowywać przymusowej przynależności do państwa. Uwydatniło się to w bardzo niepochlebny sposób dla stronnictwa socjalno-demokratycznego w Niemczech w zachowaniu się jego do partji polskiej socjalistycznej w zaborze pruskim. Na ostatnim kongresie międzynarodowym Rusinom i Łotyszom nie przyznano prawa reprezentowania osobnej od państwowej narodowości. Była nawet mowa o podporządkowaniu Polaków państwom rozbiorczym, lecz w tym wypadku uwydatniła się reakcyjność całego kierunku tak jaskrawo — że nikt nie odważył się na postawienie odpowiedniego wniosku. W tym względzie partja socjalistyczna austrjacka wyróżnia się bardzo korzystnie: dzięki Polakom i Czechom zrozumiała ona, że jej chodzić powinno o interesy narodowe a nie państwowe.

W rozprawie swojej: „Naród i państwo“ (Kraków, 1906) zaznaczam wielką różnicę, jaka zachodzi między niemi. Naród jest to żywy organizm, posiadający własną indywidualność; państwo jest to gospodarstwo, ujęte w pewny system, jest to organizacja pracy i sił narodowych. Naród żyje sam z siebie — państwo zaś ma życie z narodu i od narodu.

Skądże pochodzi ta przeciwstawność interesów narodowych i państwowych, jaką spostrzegamy we wszystkich państwach europejskich z wyjątkiem może samej tylko Szwajcarji? Historja objaśnia nam to w pewnej mierze. Zarówno naród jak i państwo nie są tem dzisiaj, czem były dawniej; odbył się w nich ważny proces ewolucyjny w kierunku postępowym. Rewolucje zeszłych stuleci zmieniły radykalnie pojęcie o narodzie; przeniknęło ono głęboko w świadomość ludową, wraz z podniesieniem się poziomu oświaty i postępem demokratyzacji społeczeństw. Organizacja państwowa, skutkiem tychże wstrząśnień rewolucyjnych, uległa także zmianie, ale w znacznie mniejszej mierze, i świadomość narodowa nie może się nią zadowolić.

Jaka zaszła ewolucja w pojmowaniu narodu, a przedewszystkiem: co to jest właściwie naród? Po zgnieceniu ruchów rewolucyjnych 1848 i 1849 r., kiedy dążności narodowe ujawniły się wydatnie, propaganda reakcyjna usiłowała przed-

stawić te dążenia jako utopijne. Włochy — powiadano — to termin geograficzny. Cóż jest bowiem wspólnego pomiędzy Sycylijczykiem a mieszkańcem Pjemontu? Ludność niemiecka nie przedstawia nawet jednolitości szczepowej: w północnych Niemczech jest długogłowa, w południowych — krótkogłowa. Po upadku komuny paryskiej w 1871 r., rozłam pomiędzy demokratami i socjalistami pogłębił się i niechęć socjalistów ku demokratom przeniosła się i na ich dążenia narodowe.

Walka narodów — mówiono — zasłania w oczach proletarjatu konieczność walki klasowej, która jedynie może go doprowadzić do zwycięstwa. „Tymczasem — jak powiada de la Grasserie — samą siłą wypadków Włochy zjednoczyły się, tworząc odtąd państwo równoważne z narodowością włoską; również zjednoczyły się później Niemcy. I te dwa zjednoczenia odmieniły oblicze świata. Z innej znowu strony, Węgry otrzymały zupełną autonomję, zachowując tylko bardzo rozluźnioną unję personalną; Słowianie austrjaccy, z Czechami na czele, dopominali się swych praw narodowych i są bliscy ich otrzymania; Rumunowie, Bułgarzy, Serbowie zrzucili jarzmo tureckie; Armenja woła rozpaczliwie o swe prawa; Irlandja usiłuje rozniecić w sobie nowe życie. Jedna tylko Polska, zdawało się, zamarła. Czyż czcze złudzenia byłyby w stanie wzbudzić i podtrzymać te ruchy i do tak ważnych następstw doprowadzić?“

Badając dzieje i stan etniczny dzisiejszych narodów w Europie, niepodobna nie uznać tego, że podkładem ich jest wspólność pochodzenia szczepowego (rasowego) i że ona jest podstawowym czynnikiem, *le facteur* — jak się wyraża de la Grasserie. Wprowadza on jednak wcale niepotrzebnie na miejsce naturalnej, jakąś sztuczną szczepowość *(la race artificielle)*. Wytwarzanie się narodów i łączenie się plemion przedstawia się jako akt naturalnego procesu, który został tylko przez najazdy i podboje zagmatwany i zaciemniony. Zaznaczają to historycy i socjologowie. Już Tucydydes mówi, że połączenie się plemion attyckich odbyło się pod wpływem Tezeusza, za wspólnem ich porozumieniem się z sobą. Morgan, który wiele się przyczynił do wyjaśnienia ewolucji społeczeństw rodowych, spędził większą część swego życia wśród Irokiezów, był nawet usynowiony przez jedno z plemion irokiezskich, przez Seneków, patrzał więc własnemi oczyma, jak te plemiona doszły do związku federalnego pomiędzy sobą. „Jednem z uznanych przez tą federację zadań, było zachowanie pokoju — powiada Morgan — usuwała ona przyczynę waśni przez połączenie swych plemion pod jednym rządem“.

Federacja plemion nie stanowi jeszcze jednak narodu. Potrzebnem jest, ażeby ona przez dłuższe istnienie ugruntowała się i w tym nowym organizmie wzmocniło się poczucie wspólności międzyplemiennej. W dawnych czasach przyczyniała się do tego w wysokim stopniu religja. Jerozolima ze swoją świątynią i arką przymierza skupiała plemiona hebrajskie. Stolica arcybiskupia w Gnieźnie, założona przez Bolesława Wielkiego, przez długi czas utrzymywała w łączności duchowej plemiona lechickie, które zgarnął był jego oręż w jedno państwo.

Wspólne pożycie państwowe plemion pokrewnych, wspólne boje w obronie kraju, wspólna walka o zdobycie większej wolności politycznej i lepszego ustroju stosunków społecznych złożyło się przeważnie na wytworzenie silnego uczucia patrjotyzmu narodowego, głównej cechy istnienia narodu — jak powiada historyk francuski, Augustyn Thierry. Straszna walka, jaką staczała rewolucyjna Francja z koalicją monarchiczną Europy, zrobiła to, czego okrutna polityka Richelieu'go i jego naśladowców dokonać nie mogła; zespoliła ona różne plemienne prowincje w jednem silnem poczuciu narodowem.

(Dokończenie nastąpi).

Bolesław Limanowski.

BRONISŁAW SZWARCE.

PAMIĘTNIKI.

(1834 — 1903).

(Ciąg dalszy).

Trzeba było pracować dla chleba; więc patron-porucznik wstąpił do garbarni pana Anzelma Michela — stryj Jan, wypędzony na południe Francji, dostał się do papierni w Annonay, nad Rodanem; stryj Feliks nie emigrował i po paru latach umarł w Warszawie wskutek ran otrzymanych w powstaniu.

Tymczasem jak się tylko trochę uspokoiło panna Emilia wybierała się do narzeczonego, a że była to na owe czasy podróż niesłychana, matka nie chciała jej puścić samej i postanowiła

udać się z nią na emigrację, tem bardziej, że syn jej zmarł z ran. Pamiętam jak mi nieraz opisywano tę podróż. Wujaszek Bogumił Malcz odprowadzał emigrantki we własnym powozie aż nad Sekwanę, wściekając się na *immer langsam voran* niemieckich poczt. Bo też teraźniejsze pokolenie nie może sobie wyobrazić owych czasów, kiedy kolei żelaznych nie było, kiedy zaledwie zaprowadzały się, jako wielka nowość, ekstrapoczty i diliżanse, a ludziska wędrowały sobie pieszo lub konno, bogatsi we własnych powozach. Jam jeszcze trochę tych porządków zahaczył ale niewiele. Szkoda, że szczegóły tej podróży, opowiadane mi później przez babkę, nie utkwiły w mojej pamięci; kilkunastoletniemu chłopcowi podobały się jedynie jej humorystyczne wypadki. Naprzykład śmiałem się zawsze, kiedy wujaszek Bogumił poczęstował z grzeczności tureckim tytuniem siedzącego obok niego pocztyljona (bo w owych czasach przyzwoitemu mężczyźnie nie wolno było palić przy damach, więc wujaszek ze stambułką został zrelegowany na kozły) a obrzydliwe niemczysko wyciągnęło z kieszeni olbrzymią porcelanówkę, w której znikła cała paczka najlepszego Djubeku. Patrząc na zrozpaczoną minę Warszawiaka, kobiety w powozie śmiały się do rozpuku, a ta dykteryjka często rozweselała później wygnańców, marzących przy dymiącym kominku podczas długich, mglistych i ponurych wieczorów francuzkiej zimy.

Tak podążono przez Kalisz, Drezno, Frankfurt do Strasburga, i koło Nancy spotkano się z narzeczonym emigrantem. Pomimo powszechnej wówczas wiary, że lada dzień wybuchnie ogólna rewolucja (był to pewnik, ale za wczesny o 15 lat), że za parę lat najdalej wszyscy wrócą zwycięsko do Warszawy, radość z połączenia musiała być zaćmioną smutnemi przeczuciami; ale poczucie obowiązku było wystarczające dla wytknięcia dalszej drogi. Podążono więc do Dynanu i tam ślub się odbył przy ogromnym entuzjazmie całego miasta (wierzono jeszcze wówczas w jakieś ideały) 24 grudnia 1833 roku. Gwardja narodowa (i ona jeszcze wówczas istniała) wystąpiła jak jeden mąż, komendant Jardin był świadkiem przed burmistrzem hrabią de St. Pern Cuellan, bo i legitymiści nawet mieli pewne sympatje dla Polski — jednem słowem było to evenement w miasteczku, bo niestety niewiele Polek przeniosło się z nad Wisły nad Sekwanę dla pocieszenia listopadowych wojowników. — Samem czytał wydaną wówczas jednodniówkę z romantycznemi wykrzyknikami i pompatycznym wierszem okolicznościowym dla uczczenia charmante polonaise i brave polonais — gdzież się podziały owe czasy!

Nie mogę się jednak skarżyć na poczciwych Dynańczyków; ich sympatja otaczała ciągle moją rodzinę i trzydzieści lat później petycja miasta Dynan miała mię uratować pod samą szubienicą.

Ale ponieważ na chleb pracować trzeba, młodzi małżonkowie pojechali z babką moją do Lochristu, gdzie p. Michel kupił sobie folwark i cywilizował Bretończyków — takim sposobem urodziłem się w głębi Kornwalji. Pobyt ten wcale nie był dla moich rodziców przyjemnym. Trzeba być wychowanym we Francji, a potem dostać się do Polski, by ocenić jak nieznośną jest dla Polaka francuzka zima, bez pieców, z wiecznymi przeciągami, w domie murowanym z granitu; a daje się także odczuć brak wszystkich wygód i „delikatesów“, do których przywykli wschodni barbarzyńcy; a o których, zwłaszcza w owych czasach, w cywilizowanej Francyi nie miano pojęcia. Oprócz Paryża i kilku portowych miast; dość powiedzieć, że jeszcze za moich dziecinnych czasów można było dostać herbaty, a właściwie mówiąc, tak ochrzczonego zielonego proszku, tylko w miejskiej aptece, gdzie się sprzedawał jak pieprz w papierkach. Cóż dopiero śród lasów Bretońskich, gdzie ludności okolicznej wcale nie można było zrozumieć, gdzie śród wiecznych deszczów ani dróg, ani powozów nie było! To też wybrano się wkrótce z powrotem do Dynanu, gdzie było przynajmniej coś nakształt cywilizacji; jako okaz Kornwalji zabrano jedynie niańkę moją, Delfinę, Meljardównę (Młynarzównę), która była potem naszą nieodstępną sługą, aż do śmierci ojca.

W Dynanie miałem odebrać pierwsze wychowanie; opiszę więc ów gród starożytny, dawną siedzibę Dynańskich hrabiów i widownię niezliczonych bitew, oblężeń i rokoszów podczas wojen średniowiecznych. Dla polskiego czytelnika będzie to obraz zupełnie niezwykły.

II.

W okolicy mocno pagórkowatej, na granitowem płaskowzgórzu, wznoszącem się o dwadzieścia kilka sążni nad głęboką doliną, w której wężykowato płynie rzeczka Ransa (La Ranse) sterczą grube kamienne wały z okrągłemi basztam

i wązkiemi gotyckiemi bramami. Największa z tych baszt, około bramy św. Ludwika nazywa się zamkiem Księżniczki Anny, która przyniosła w posagu Księstwo bretońskie francuzkiemu królowi Karolowi VIII. Jestto ogromna okrągła wieża z wązkiemi strzelnicami, z głębokiemi podziemiami i wszystkiemi przyrządami średniowiecznych bastylij. W obrębie tych wałów cisną się stare, wielopiątrowe kamienne domy, często łupkiem pokryte, nie tylko na dachach, ale na ścianach, niekiedy podparte arkadami; wszystko to przerzynają wązkie uliczki, gdzie dwa wozy wyminąć się nie mogą. Przy mnie zaczęto budować nowe obrzydliwe kamienice, wyglądające na źle ozdobione kuferki — może dziś wyrugowały zupełnie stare domiska. Co krok spotyka się gotycką studnię z misternie wykutym żelaznym zrębem, ogromne mury klasztorne, dzisiaj bez mnichów, a nad śpiczastymi dachami sterczą rzeźbione granitowe wieże czterech czy pięciu kościołów. W środku miasta plac targowy, a obok niego, tam gdzie się dawniej odbywały turnieje, wysadzony lipami prozaiczny czworobok, z obrzydliwym posągiem sławnego marszałka (connétable) Bertranda Du Gueselin francuzko-bretońskiego bohatera z XIV wieku. Ku zachodowi z podwala zrobiono aleje, wysadzone grabami i wiązami, ale bardzo wązkie, bo grunt spadzisty miejsca poskąpił.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NOC CZARÓW.

(Z ballad Tatrzańskich).

...Na trzonach Tatr,
Jak przygaszone
Płomienie watr,
Jak pożar krwawy,
Żrący błękitu oponę,
Nim wargi nocy tatrzańskiej, chłodnawej
Zdmuchną go w otchłań, gdzie mrok bę-
[dzie żarł,
Jak wraży łeb Ugolino,
Jak ognie rzucone,
Gaśnie zachodu płomieniący żar,
W kryształu nieba wsiąkając głąb siną...

Kaganki gwiazd
Cicho zapala
Wszechświata Piast,
Wieczny Tatr Gazda...
Potoku spieniona fala
Szumi gędziebnie... Jak lampa gór, gwiazda
Księżyca chłodna błękitnawo lśni
W groźnym, tajemnym Tatr mroku...
Jak pasa górala
Sztyfty, jak Boga grube, złote łzy
Migocą gwiazdy... Lśni piana potoku...

Na zboczach gór,
Nad mgieł Tartarem,
Spi ciemny bór
W gwiazdach smrekowy,
Co, gdyby baśniowy harem,
Schyliły nad nim cudne, złote głowy,
Prósząc pajęczą, djamentową mgłą,
A czarnych wierzchołków szpice,
Na nieba tle szarem,
Zaklęte czarem, nieruchome śnią,
Posławszy w gwiazdy dum górnych orlice!..

Od błędnych dróg,
Hań! od Kościelisk
Brzmi złoty róg,
Polska pieśń rzewna...
Księżyca blasku obelisk
Po czarnych turniach błądzi, gdzie
[królewna
Tatrzańskiej nocy, jak baśń, cicho śni,
O śpiących marzy rycerzach,
Co z gruzów popielisk,
Jak Król-Duch wstaną, gdyby ducha lwy,
Wznieść w gwiazdy Polskę na złotych
[puklerzach!..

WACŁAW WOLSKI.

卐 Duse człowiecej nie złomis, kieby palice na kolenie!

Zje dyć nie kazda sie zaś dziéwka wyda, a kie ma dziecko, to, wiécie, mówiom, co je przespanica, jacy co ma nabytnie dziecko.

Przędzéj to u nas nie bars mało béło przespanic. Bez te przycyne wzięni sie ku temu księdza.

Juści odkazać im musiał biskup z Krakowa, coby to jakosi spoprawić naród.

Kie ozkaz, — to ozkaz!

Ano nauzwypominali sie z ambone po ko-

ściele przespanic, a poniektórzy to ta pocynali se kolwicek nie bars piknie.

Béł taki w i k a r y ohurny, co kie dziéwka przysła sie wysłuhać, to nie telo, co jéj naciukał, naseredziuł co cud, końce jom jacy dobiuł i włosy pozwytardzował we słuhanice.

Ka sie ta księdzom babrać takom robotom!

Juści, bacem, béł na B a ń k ó w k a k taki jegomość, co kiele roki haw siedział. We starości to sie srobiuł taki gorliwy, tak sie ozjedziuł na przespanice, co im dzieci krzciuł na takie cudacne przezwiska, nijakie imioniska, bo jacy jakiesi brzydźkie nazywiska.

Jednom, wiecie, z K o ś n e g o-ze H a m r u béła, kajsi od B u l c y k ó w, to okrzciuł H e r m e n e g i l d a.

Kie dorosła, to jej wse parobcy przyrucali, co je zydówka, kie sie woła, ba i pise Hermenegilda.

S ł y h a n a t o r z e c, m o i ś c i e w y, c o b y t a k n a w y r z ą d k r z c i ć! — a n i p ó ł n i c e g o t e l o k i e p k o w a ć!

Jeden taki stary, co przódziéj sługował w gnanapyrak, kajsi w Italii, powiedał mi, co to jest iście miemieckie imionisko, jacy to ani nijaka święta nie béła, ino jakasi Miemka nikcemna.

Znowu béł, wiécie, taki jegomość, co ani krzcić takik dziecysków nabytnik nie fciał, aze mu raz taka matka pedziała:

— *Jegomość! nie boicie sie wy Boga? a cóz ja s tem dzieckie srobiem, — ino utopić, a to przecie grzek, cheba fcecie, coby sie ś niego* s t r z y g o ń *po śmierzci nagodziuł!*

Dopiéro wte sie opamiętał.

Zje-ta, ba i cóz? Przecie Paniezus béł lutościwy, a i sprawodliwy, iście i ksiądz musi być taki.

A i t a t o d z i e c y s k o, t a d r o b n i a w a, — c ó z o n o w i n o w a t e?!

Ale to ta on sam ten jegomość zawdy béł taki mścity, bo kie go raz wołali, coby człeka starego na śmierzć zaopatrzuł, jacy nie poseł, bez to rzekomo, co on przódziéj za młodyk roków swoik zbójował! A to ino bez złość!

Godziwa jest je to rzec?!

. . . Zasie béł taki jegomość kajsi w L u d ź m i r z u, człek godny, mądry a lutościwy. On ta juz człowieka p r z e z n a ł, oj p r z e z n a ł!

Co sie raz nie przydarzyło. Jakasi dziéwka miała se polubieńca. Końce ku temu przysło, co nabyła se dziecątko.

Polubieniec zapyśniuł sie i poniechał jom. Ostała sama s hańbom swojom.

Z pierwotku bars banowała, biédziła — pote jacy jakasi m a m u n a jom nawiedziła, co se przybrała do głowe, *nic ino dziecko utopiem!*

Obgania sie téj myśle, bo to przecie straśny grzek i o zbawienie wiecne-by przysła!

Spokoju nijakiego ni ma, bojno jéj cosi wse, ano biere sie ku kościołu dać sie wysłuhać.

Jegomość béł bars ludzki, juści cosi jom poniewoliło, co mu sytko wyjawiła, jako fce dziecko swoje własne, ino nieślubne zamarnić.

Co sie nie robi — jegomość se kolwicek ozmyśluje i pada tak:

— *Dobrze, konaj-ze to, co fces, ino ci telo napowiem, kie je bedzies miała w wode wrucić a potopić — do trzok razów wprzód je pobośkaj w licko lewe, a pote to ta juz konaj, jako ci wyńdzie.*

Ano dziéwka posła dó domu. Uspowijała dziecysko w satke cystom i idzie ś niem ku wodzie — L e p i e t n i c a ten potok wołajom — w názárki, nieśmiele, coby fto nie uwidział, kany huściawy, wiérby, iwina, a sasanki rosnom.

Haw takie plosko naproci jazu béło, topiel godna.

Dzierzy dziecątko w ręcak, choląta ś niem i jako jéj jegomość napedzieli, bośka je w licko lewe do trzok razów. Kie to srobi, owija je tak całe z ruckami, ma rucić w wode...

Wte do znaku cysto jom zasłupiło — bars luto jéj dziecątka béło. Jak nie zacnie płaskać, dziecko ku sobie dusić. Opuściło jom od jednego razu sytko.

Kładnie se dziecątko na trawe, sama zaś idzie ku brzegu i ręce se pomywa wodom, coby grzek odgonić prec i te skalane ręce docyścić.

I tako sie jéj zara lekućko srobieło na sercu, co sie i ode grzeku swolniła i dziecątka nie zamarniła.

Pobrała sie ś niem pote dó domu nazad. Przylgnęna-ze doń! Kie sła, to ino wse na nie poziérała, cy ono ino wié, c o j e w ł a s n a m a c i e r z f c i a ł a z a h u b i ć!

Jacy je cięgiem po rąceckak malućkik bośkała, a tak mu ino napowiada: *moje ty lubiątko przemilejse, hudziatko ciaciane, Janicku mój!!!*

Kie je w izbie wziena huziać a śpiewać, co naładniejse piosnecki ino znała! — to sie aze babów nashodziuło ode spólników, cóze sie ta

dziéwka tak raduje dziecątkowi, kie jesce wcora skróś onego zámutkiem zyła!...

Mało juści wysło, a i ten jéj dawny polubieniec ś niom sie ozeniuł, kie obacuł, jako ona rada to dziecątko widzi.

Macierz go wycęściła z jego ojcowizne, to béł i hruby gazda, a tak se siedzieli wraz, w zgodzie, kielo roków.

A ja uwazujem, na mój dusiu! ten jegomość z Ludźmirza rozum miał, a i lutość!

Kie on telo jej serce przeźrał, co wiedział, jako ona ino ode zalu wielgiego fce dziecątko potopić! A tak w niéj serce odmieniuł, ku dziecku przyniewoluł, a i od grzeku zbawiuł!

Bo to sie bez miłość macierzystom zal w niéj przepragnąn!

To i Pan Bóg jéj potemu pozegnał, co sie wydała!

Ja wam ta powiedam, co ksiądz to musi być zaś mądry, a lutościwy. Taki to człowieka przewładnie dowutnie, zna on hudobe człowiecom, bo je ciekawy do duse, a dobrze wié, co — jak niebozycek, świéć Panie Boze! jegomość ksiądz Stolarcyk wse mawiali, —

— *duse człowiecej nie złomis, kieby palice na kolenie!* Uzdajał *St. Ogończyk.*

BIBLIOGRAFIA FINKLA.

„Spłynęły mi na niej najlepsze lata, a nieraz słyszałem w postaci jakby zarzutu, że mógłbym coś lepszego robić, niż to „kartkowanie bibliograficzne“.

Prof. Finkel w przedmowie do „Bibliografji historji polskiej“.

Profesora Ludwika Finkla „Bibljografja historji polskiej“, wspólnie z dr. Henrykiem Sawczyńskim i członkami Kółka historycznego uczniów uniw. lwowskiego“ sporządzona, wyszła już w całości z datą „Kraków 1906“ i nakładem „Komisji historycznej Akademji Umiejętności“.

Jeden ze szczęśliwych, prywatnych posiadaczy egzemplarza tego nieoszacowanego dzieła, kazał wszystkie trzy części jego oprawić w jeden tom, i w tej postaci dostało się ono niżej podpisanemu do pobieżnego przeglądnięcia. Wrażenie prawdziwie imponujące. Sto kilkadziesiąt arkuszy drobnego i miejscami jeszcze drobniejszego „nonpareillowego“ druku, ponad czterdzieści tysięcy bibliograficznych pozycji, z których każda prawie zawiera po kilka, czasem kilkanaście tytułów książek, indeks osób, miejscowości, autorów mógłby sam dla siebie stanowić olbrzymi tom; rozkład jasny i przejrzysty, ułatwiony jeszcze skorowidzami, objaśnieniami, słownikiem abrewiacji — tak się przedstawia na pierwszy rzut oka „Bibliografja historji polskiej“.

Wglądnięcie do środka, tak, bez określonego celu, bez zamiaru odszukania spisu książek i druków do jakiejś kwestji historycznej, sprawia wrażenie chaosu i zniechęcenia. Zdaje się, że odszukanie pewnej książki w takim ogromie jest chyba nie możliwe. A jednak indeksy i wskazówki są tak dokładne, że nawet analfabeta historyczny, człowiek z podziałami nauk historycznych i z ich systematyką wcale nie obeznany, z niesłychaną łatwością znajdzie to, co go w danej chwili interesuje.

Bo dzieło prof. Finkla nie jest, jak sam autor w przedmowie zaznacza, bibliografją w ścisłem tego słowa znaczeniu, ale raczej realnie ułożonym katalogiem do szybkiego zorjentowania się w materjale źródłowym i opracowaniach. Podając wszystkie drukowane źródła do dziejów Polski i opracowania aż do roku 1900, ogranicza autor zakres ich do r. 1815. To znaczy bibliografja najnowszej doby naszej historji, nie znalazła tu pomieszczenia. Całość podzielona jest na trzy części, to jest wiadomości wstępne, źródła i opracowania.

Wiadomości wstępne zawierają wszystkie dzieła, druki, a nawet drobne artykuły rozrzucone po czasopismach, a odnoszące się do archiwów, bibljotek i nauk pomocniczych historji jak numizmatyka, sfragistyka i t. d. W „źródłach“ podaje autor dokumenty i kroniki; „opracowania“ zaś, z natury rzeczy zajmujące najwięcej miejsca w bibliografji, podzielił autor na takie, które odnoszą się do historji wewnętrznej, politycznej, do osób i miejscowości. Historja wewnętrzna rozkłada się znowu na następujące działy: geografja i etnografja, wiara i kościół, prawo i ekonomja, oświata. Ostatni wreszcie dział rozpada się na bibliografję historji i obyczajów, wychowania i szkół, literatury i sztuki.

W każdym z poszczególnych działów i poddziałów ugrupowany jest materjał podług prowincji, składających dawną Polskę i podług ważniejszych miejscowości. Kto tedy, zajmując się jakąś szczegółową czy ogólną kwestją z historji polskiej zajrzy do odnośnego działu, albo do indeksu, ten pod wskazanymi numerami znajdzie wyczerpujący i całkowity obraz literatury danego przedmiotu z wymienieniem, co dotychczas w tej kwestji było drukowane.

Czy jednak wymieniono wszystko, tak, że pracownik sam już dalej szukać nie potrzebuje? Gdyby możliwem było dokonanie takiego dzieła bibliograficznego, byłby to ideał, do którego dążył prof. Finkel, z gronem współpracowników już od r. 1878, a więc pełnych dwadzieścia ośm lat. Niestety sam autor przyznaje, że do tego ideału daleko a pomyłki i niedokładności są nieuniknione. Uczynił jednak co tylko jest w mocy sumiennego badacza, aby tych niedokładności było jak najmniej a dołączony na początku spis, zwłaszcza przeglądniętych pism perjodycznych, daje wskazówkę, że tylko w niewymienionych tam pismach szukać by należało materjału, nie objętego bibliografją. Że zaś prof. Finkel i jego współpracownicy przeglądnęli i umiejętnie wyzyskali wszystko, co tylko mogły dostarczyć bibliografje, katalogi antykwarskie, spisy treści miesięczników, dzieła obce, jak niemieckie, francuskie a nawet węgierskie, a wreszcie przeglądnęli i ogromną masę czasopism — stał się więc owoc ich długoletniej, a żmudnej pracy, „Bibliografja historji polskiej“ dziełem pomnikowem, niezbędnem w ręku każdego badacza przeszłości, dziełem, jakiem nie wiele innych narodów poszczycić się może, prawdziwym kluczem do wielkiej księgi dziejów naszych.

A przy takiem pobieżnem kartkowaniu wielkiego dzieła, zatrzymując się tu i ówdzie przy ciekawszym lub bliżej obchodzącym dziale doznaje czytelnik osobliwszej ułudy. Z tych gęsto zadrukowanych kart zda się wychodzi sylwetka autora i jakby się powtarzało zdanie z przedmowy „spłynęły mi na tej pracy najlepsze lata“. Sylwetka dziwnie sympatyczna, słowa niby z ust oracza, co się swoim plonem ucieszył.

I z kart owych patrzeć się zdają czarne przenikliwe oczy, które na korekcie tego dzieła wiele być może utraciły blasku, ale i dziś patrzą z ostro zarysowanej twarzy aż wprost do duszy i intelektu słuchacza, powtarza się nazwisko profesora, które szeroka publiczność słyszy zawsze w związku z wielkiemi przedsięwzięciami naukowemi, a które wymawiają uczniowie z wielką miłością zawsze, a z pewną troską przed egzaminami. Bo profesor Ludwik Finkel to na lwowskim uniwersytecie postać z benedyktyńskim zakrojem w pracy, o pewnym kroku pozytywnego historyka, co szeroko obejmie obszary dziejów, niespuszczając równocześnie oka z najdrobniejszych nawet szczegółów, którymi „trapi“ niedość dobrze przygotowanych słuchaczy. Autor poważnych dzieł historycznych, z równą sumiennością trutynuje popularne dziełka dla „Macierzy Polskiej“ z takim samym pietyzmem strzeże najdrobniejszego kamienia pamiątkowego, jako prezes grona konserwatorów.

Jeżeli mu więc czyniono wyrzuty, że wolejby „coś lepszego robił, niż to kartkowanie bibliograficzne“ dla „Bibliografji historji polskiej“, to chyba z takiej strony, która nie dość dobrze rozumie duszę i poświęcenie męża, który zamiast gruntować w dalszym ciągu sławę swojego nazwiska wolał wiele poświęcić drogiego czasu na otrzepanie z kurzu zapomnienia nazwisk historyków przeszłych i na ułatwienie pracy pokoleniom przyszłym.

„Spłynęły mu na „Bibliografji“ najlepsze lata“, ale też za to wzniósł gmach, na którego budowę nie wielu by się dzisiaj ważyć mogło — stworzył dzieło pomnikowe.

Spłynęły mu najlepsze lata na odczytywaniu krytyk pierwszych części swojej pracy, pobłażliwego wzruszania ramion u niedowiarków, na przebijaniu się przez trudności wydawnicze, redakcyjne i ot mimo wszystko urosła biblio grafja potężna, imponująca nakładem nauki, pracy i wytrwałości.

Szkoda tylko, że profesor Finkel za skromnym był, aby wzbudzić zapał u swoich wydawców. Akademja umiejętności kazała pierwszą część dzieła wybić w tak śmiesznie małej liczbie egzemplarzy, że w jednej chwili zostały rozchwytane i dziś nie ma po prostu możności skompletowania dzieła, które każdy historyk musi mieć na swoim stole, pod grozą ustawicznego latania do bibliotek publicznych.

Potrzeba drugiego wydania „Bibliografji historji polskiej“ stała się piekącą. *F. J.*

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Séailles Gabrjel: Demokracja i Oświata przełożył Konrad Drzewiecki. Bibljoteka filozoficzno-społeczna. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1906 r.

Wymieniona wyżej firma zainicjowała szereg wydawnictw treści filozoficzno-społecznej. Dziełko Séailles'a jest pierwszem z tej kategorji. „Demokracja i oświata“ to temat nader bogaty i doniosły; biorąc książkę tę do ręki sądziłem, że: albo znajdę w niej znaczny materjał faktyczny, dotyczący instytucji kształcących masę ludową; albo też teoretyczne omówienie sprawy oświaty najszerszych warstw społecznych. W istocie jednak dziełko Séailles'a nie daje ani jednego ani drugiego, lecz zawiera tylko szereg znanych powszechnie i oklepanych twierdzeń, niepopartych nowymi dowodami; ani nawet stare argumenty, na korzyść głębszej oświaty mas, nie zostały usystematyzowane i zebrane razem. Autor powtarza często, że oświata jest potrzebną w demokracji, że trzeba przedewszystkiem rozwijać umysły, a nie narzucać samych twierdzeń, że nauka winna być niezależną i t. d.

Wszystkie powyższe poglądy w formie bardzo ogólnikowej powtarzają się w różnych rozdziałach bez końca.

Prof. Séailles usiłuje jeszcze w pracy swojej uzasadnić tezę: że społeczeństwo udoskonala się nie tyle przez zmiany zewnętrzne polityczno-ekonomiczne, ile raczej przez udoskonalenie i podniesienie poziomu umysłowego pojedynczych jednostek. Zwolennicy powyższego poglądu, a jest ich bardzo dużo nigdy nie są w stanie uzasadnić go w sposób zadawalniający i zawsze tylko przytaczają fakt, że różne rewolucje i reformy dały mniej niż od nich oczekiwano.

Autor nasz pod tym względem nie stanowi też wyjątku. Szkoda wielka, iż kwestja tak doniosła bywa tak źle stawiana. Istotnie wszyscy pisarze powyższego kierunku rozpatrują jednostkę ludzką w odosobnieniu, wyodrębniając ją sztucznie z grupy i grup do których należy, odcinają ją od sieci stosunków wiążących ją z całym kompleksem stosunków i instytucji społecznych. Dokonawszy zaś tej operacji sztucznie, rozważają wszechstronne „doskonalenie się“ i „rozwijanie jednostek, w końcu zaś z tych wyodrębnionych jednostek budują mechanicznie „społeczeństwo“, które ma mieć tylko cechy składających je jednostek.

Tego rodzaju metoda działania i myślenia nie wytrzymuje krytyki i zbankrutowała już zarówno w teorji jak i praktyce. Indywidualistyczne doktryny Spencera i konsekwentniejsze od nich teorje anarchistyczne zostały już szczegółowo przez naukę zanalizowane i obalone.

Prace Durkheima, Simmla, oraz nowszych etnologów uzasadniły; że początkowo jednostka ludzka, a z nią indywidualność w ogóle ginęła całkowicie w różnych grupach; że dopiero rozwój społeczny, przez różniczkowanie się grup, oraz przez ich krzyżowanie się doprowadził do wytworzenia się indywidualności. Wprawdzie zmarły niedawno socjolog francuski Tarde innego był zdania, ale pomimo wielkiej pomysłowości swojej nie zdołał obalić wywodów cytowanych wyżej myślicieli. Udoskonalanie jednostek iść może tylko w parze z wielkimi przeobrażeniami społecznymi, równolegle do nich; a to dlatego, że przeciętna jednostka, dziś szczególnie, należąca do warstw pracujących zbyt jest obciążona zajęciami codziennemi, aby mogła się znacznie rozwinąć. Również sama akcja, polegająca na stowarzyszaniu się jest niedostateczną; dla demokratyzacji społeczeństwa potrzebną jest szeroka pomoc państwa, kraju i gminy.

Wprawdzie i Séailles, niekiedy zdaje się to rozumieć, ale większość ustępów jego pracy mówi co innego, tak np. powtarza on frazes, że W. rew. francuska 1789 r. zrobiła niejeden zawód; przyczynę tego widzi jednak nie tyle w okoliczności, że rewolucja ta nie przeprowadziła i na razie przeprowadzić nie mogła szeregu doniosłych reform ekonomiczno-społecznych, lecz w tem, że rozwój moralno-umysłowy obywateli był za mały.

Kwestję reform ustroju społecznego i udoskonalenia obywateli postawić należy w sposób następujący:

Każda doniosła zmiana w ustroju społecznym wymaga istnienia pewnego minimum obywateli, których rozwój moralny i umysłowy przewyższałby poziom ogółu; te wyżej stojące od innych jednostki, opierając się na interesach różnych grup społecznych, przy ich udziale, dzięki ich wysiłkom, przeprowadzają wielkie reformy w ustroju społecznym, które dopiero ze swojej strony umożliwiają znaczne podniesienie się poziomu moralno-społecznego mas.

Oczywiście, w trakcie samej walki o wielkie reformy, masy przez nią samą podnoszą się, zwiększają swoją energję i t. p., ale znaczniejsze ich wyrobienie, udoskonalenie jednostek je składających dokonanem być może tylko po zmianie warunków objektywnych wśród których żyją.

Praca kulturalna umysłowo-moralna nad jednostką może tylko dopełniać akcję polityczno-społeczną, ale nie przeciwstawiać się jej. Nie można więc twierdzić: najpierw oświećmy masy, udoskonalmy jednostki, a potem zajmijmy się reformami. Pogląd powyższy wypowiadają zawsze świadomi, albo nieświadomi zacofańcy; u nas szczególnie należy go zwalczać. Tak więc omawiana tu praca, w gruncie rzeczy nic nie daje czytelnikowi, a nawet bałamuci go często. Tak np. rozdział o systemie Tołstoja nie daje dokładnego o nim pojęcia i nie podnosi zupełnie jego strony reakcyjnej. Przekład polski wzorowy.

L. Kulczycki.

Drukiem „DRUKARNI POWSZECHNEJ“ we Lwowie, ul. Akademicka l. 8.